

— Słuchajno chłopcze — mówię — możebyś zaprzestał tego zmiatania, jeśli gość siedzi w waszym lokalu.

— Jutro wielkie święto, zmiatać nie będę.

Okręcił się na obcasie i robi miotłą półkola, jakby był górale i kosił potraw.

— Prędzej chłopcze! — wołał z drugiego pokoju cukiernik — ja tu nie będę siedział! Jedną herbatą nie zapłacę kosztów światła, lokalu, insertów, podatku i konsumy propinacyjnej.

Chłopak miotłą przejechał mi przez spodnie w okolicy kolan. Nowe spodnie. Wczoraj dałem za nie dziewiętnaście koron.

— Uważaj chłopczyku, bo mi poplamisz spodnie.

— Przecie ja muszę w tem miejscu zamieść.

Przesiadłem się na środek cukierni, gdzie już było zamieciono. Cukierniczka przyszła do bufetu, wydobyła z dolnej przegrody dużą garść siana, wyjęła z kasy paczkę opłatków i wróciła do bocznego pokoju z powrotem. Nagle zapłonęła tam duża jasność. Oświetlają stół do wigilijnej wieczerzy.

— Chłopcze, kończ, bo siadamy do wili.

— Zaraz, panie.

— A gdy będziesz odchodził, zamknij kasę z pieniędzmi i weź klucze... bo... ty wiesz...

Tego było mi trochę za wiele. Zawadzam ludziom na tym świecie. Wszystkoby mi jeszcze zniósł, ale nie to, że mnie złodziejem robią. Już w tej cukierni noga moja nie postanie.

— Zapłacę.

— Herbatą jedną, dwadzieścia halerzy.

— Dziesięć centów. Masz szóstkę i bywaj zdrow.

— Dobranoc! Sługa pana dobrodzieja. Uszanowanie, szanowańko!

Gdy stał już na progu, cukiernik, zamykając sklep, trącił mnie w plecy żelaznymi drzwiami, żem wyleciał na ulicę.

Prześliczna gwiazdzista noc.

Urodził się biedaczysko w Podhradziu na Słowacczyźnie. Podhradz slične miasto, rynek wielki, szerokie ulice.

Nad domami stoi ogromny zamek, w którym były się wojska polskie, w którym do dziś dnia w czarną noc zjawiają się duchy polskich rycerzy.

Od zamczyska, gdzie niezmierne skarby leżą ukryte, do katedry ciągnie się podziemny kurytarz, aż do grobów z trumnami biskupów i wojewodów. Nad ich grobami jest w otłaczach tłum rzeźbionych złotych postaci, które jakby żywe na człowieka patrzą.

Sławny na całym świecie krakowski snycerz przed wiekami tam prześlicznie wyrzeźbił Najświętszą pannienkę w złotej szacie.

Biedny chłopczyka musiał opuścić podhradzki kościół i ojczyznę swoją, musiał iść w daleki świat za chlebem, którego w domu nie było. Gdzie nie był!



„Będziesz jeść ze mną wigilijną wieczerzę“.

Czego nie widział! Był w Peszcie i w Koszycach, był w Krakowie i w Warszawie, gdzie swojackim językiem ludzie do niego mówili.

Zawsze na zimę wychodził w świat, zawsze na lato, gdy robota w polu miała się zacząć, wracał do domu z zarobionym groszem. Czasem przyniósł trzydzieści kron, raz nawet dwadzieścia dwa ruble u Madyara w Kezmorku wymieniał.

Dziś w grudniową noc idzie chłopak spłakany, ledwie nogi za sobą wciągając. Z żalu chce mu serce pęknąć, łez zatamować nie może. Druciane łapki na myszy, wieszadła z miedzi i koła drutu dzwonią mu smutno, jakby narzędzie jego czuło litość nad nim i razem z nim płakało. Spotkało go wielkie nieszczęście. Trzy duże srebrne talary zgubił, każdy po pięć koron.

— Gdzież się podziały!

W ziemię się zapadły, ślad za nimi zginął. Miał zawinięte w szmacie na piersiach... Szukał cały dzień.

Wraca do stróża w żydowskiej kamienicy, gdzie kątem sypia. Płaci dwa grosze za nocleg, oprócz tego ma stróżce wszystkie garnki za darmo podrutować. Przeszedł przez ciemny, brudny kurytarz, już chce iść do izby, aby przed ludźmi się wypłakać, aby zaspać żal i ból, gdy wtem... spotyka w kurytarzu stróżkę, która od razu bierze go za rękę i z powrotem na pole wypycha.

— Idź sobie, dziecko, idź. Dziś niema noclegu!

— Jakto, pani? Jakto?

— Przyjechał syn, służący na kolei, niema dla ciebie miejsca.

— Przecież pani mówiła, że codzień...

— Idź precz, nie mam czasu na gadanie.

Zamknęła drzwi dziecku przed nosem.

Wyszło na świat w gwiazdzistą noc. Idzie przed siebie błędnie z otwartymi oczami.

Ironią i cynizmem można się jak morfiną na jakiś czas podniecić, można stworzyć w duszy sztuczną wesołość, która wnet jednak się wyczerpie i skończy.

czy. Gdy wyszedł z cukierni, wnet skończyło się moje nadrabianie miną, moje kpiny z atawistycznych przesądów o szczęściu, o serdecznym cieple koła rodzinnego.

Krótko trwało bufonowanie, że opiekę rodzinną zastąpi kelner, że żonę i dzieci zastąpią karciarze i pijaki z kasyna. Oświetlone okna domów, kolendy, których echo z chat dolatywało, rozdrażniły mnie, że miejsca i rady sobie dać nie mogłem. Cemu ja sam, czemu ja taki samotny na świecie? Ileżbym dał dziś za bratnią duszę, za ludzkie towarzystwo — ileżbym dał! Chciałem na wieczór wigilijny uciec od ludzi...

Ile razy zgryzota mię chwyci, idę nad rzekę, nad odmet, który huczy... Oczywiście nie mam żadnych zamiarów złych. Samobójstwo uważam za ubóstwo ducha i nędzne tchórzostwo.

A jednak wylot rewolwera, odmet, co pianę toczy, ma dla mnie jakiś tajemniczy głos, którego rad w nieszczęściu słucham. Idę i dziś słyszeć huk odmetu, łoskot lodów, co o brzeg wala...

— Kto tu jest?

— To ja, panie.

— Druciarz? coś ty za jeden?

— Słowak panie. Czy pan ma co do drutowania?

— Mam chłopcze, mam. Słuchajno, czemu płaczesz?

— Nie mam się gdzie przespać. Zgubiłem trzy talary.

— Chodź ze mną. Spać będziesz u mnie. Talary zwrócę. Chodź!

Wnet przyszedłszy do mojego domu. Pokój był ogrzany, gospodyni odjeżdżając nakryła stół obrusem, na którym leżały opłatki, strucla i siano. Na widok tego przyszedł na myśl dom moich rodziców, młode lata moje... W gardle dławili mnie łzy...

— Pan mówił, że jest coś do drutowania.

— O, jest. Wiesz, co? Podrutuj mi łeb, żeby mi dziś nie trzasnął.

— Pan się śmieje ze mnie?

— Masz trzy talary, a teraz siadaj.

— Nie śmiem, panie.

— Siadaj, mówię. Będziesz jeść ze mną wigilijną wieczerzę. Dziś święty dzień, dziś Bóg się rodzi...

Chłopczyka słowacki wybuchnął płaczem głośnym.

— I w naszym domu... święto wielkie... tam na Spizu... I u nas wszystko się raduje w świętą, gwiazdzistą noc.

Wziąłem do ręki opłatek.

— Oby ci Bóg szczęścił, dziecko moje, obyś nie żył samotny, jako ja na świecie. Samotny, jako pies!

Ludwik Stasiak.

